



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

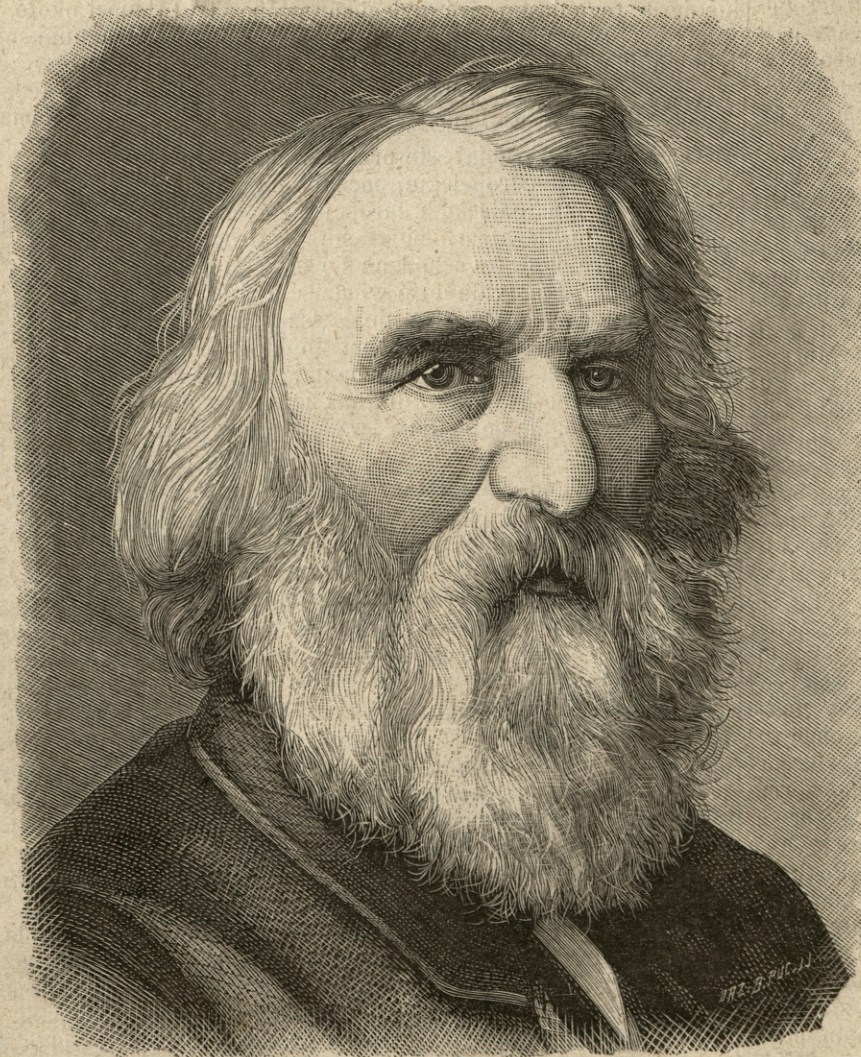
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

HENRYK WADSWORTH

## LONGFELLOW.

Życie prawdą jest i siłą,  
Nie kończy się w grobów głuszy;  
„Z prochu's powstał, w proch powrócisz”,  
Powiedziano nie do duszy....  
Psalm życia.—Longfellow.

Poeta amerykański, który za dni swej młodości zastrzegł się tak wyniosle przed nicestwem i zniszczeniem śmierci, przeszedł tę ostatnią próbę życia i sędziwym, siedmdziesiąt siedm lat liczącym starcem, położył się w mogile. Nie może on zająć miejsca w tym promienistym zodyaku, który jaśnieje na niebie ludzkości, poczynając od gwiazdy Homera, niemniej jest to jest najznakomitszy poeta Ameryki i z wyjątkiem Edgara Poe jedyny, którego sława stała się europejską. Poe nie doszedł jej nigdy w takim stopniu i w tak szerokim zakresie. Marzyciel posepny, dręczony tą chorobą rozpacz, którą Niemcy „Weltschmerz“ zowią, nie odbił dość głęboko na duchach ludzkich śladu swego przejścia: „Footsteps of Angel“ jak Longfellow nazywa wrażenie poetycznego wpływu. On—to organizacja poety zupełnie różna, przeciwna tamtej pod względem



Henryk Wadsworth Longfellow.

wszelkim. Umysł szlachetny, poważny i dobrze rozwinięty, uczucie tkliwe i szczere, nie ma za to w sobie nic tego szaleństwa, o którym Horacy powiada, że jest koniecznym, aby zatlić się mogła iskra geniuszu: nie ma namiętności i zapалу, który porywa i unosi. Zniwala on przecież do siebie przez poetyczność rzeczywistości: prostą i prawdziwą, przez współczucie dla wszystkich spraw i pragnień ludzkości szlachetnych, co czyni go stronnikiem cierpiących i pokrzywdzonych niesprawiedliwie, jest mu natchnieniem do najpiękniejszych strof jego poezji, jak naprzykład: *The poems of Slavery, The Norman Baron*. Przez to, że pisał poangielsku, że był w Anglii czytany bardzo, że istnieje tam wiele przepysznych wydań jego poezji, ilustrowanych bardzo pięknie stalorytami, przysłała z tą popularnością konieczność prawie porównywania Longfellowa ze współczesnymi poetami angielskimi, osobiwie z uwieńczonym bardem, a raczej z minstrelem dworu, i stało się jakgdyby modą zwać go Tennysonem amerykańskim, co jednak jest określeniem fałszywym i błędną zupełnie charakterystyką jego talentu. Longfellow nie jest wcale konwencyonalnym, sentymentalnym, jak laureat angielski; nie jest to tylko wierszowanie gładkie i rymowanie poprawne, ale ciepło uczucia szczere, myśl w głąb ludzkich serc, w głąb ludzkiego życia idąca, a przytem

pewna świeżość, powstała z wielkiego zamilowania natury, z silnego odczucia jej piękności.

Można nawet powiedzieć, że źródło to jest, najpierw sączące mu zdrój natchnienia, do czego sam się przyznaje w jednej z poezji swojej młodości: *The Spirit of poetry*:

Jest wśród lasów głębiny duch spokojny i cichy,  
Co tam mieszka, gdzie wiatru ciepłe tchnienie

[przewiewa,

Gdzie na ługach pod tarnią dzikie kwiecie za-  
[kwita,

Gdzie się w słońcu skąpane liście palmy kołyszą.  
Jak namiętnie a tkliwie duch ten z myślą rozmawia,

Gdy się gwiazda poranku szybko wzbija do góry,  
I wzgórz szarych wyżyny złota luna odziewa;  
Albo wieczór wędrowiec pyłem drogi okryty,  
W żałobnika kapturze do bram puka zachodu,  
I odchodzi milczący. Duch się lekko unosi  
Zielonemi doliny, nad strugami srebrnymi,  
Gdzie kaskadą się rzuca wód spienionych obfi-  
[tość,

I w gęstwinie zarosli coś szemrzająca jak dziecko,  
Dalej między głazami wiecznym śmieje się  
[śmiechem.

Duch ten przechadza się niekiedy po szczytach wyżyn wyniosłych, odziany posępnym płaszczem ciemności, na którym błyskawice haftują szlak płomienisty; wtedy patrzy on w oblicze burz i stawa naprzeciw potężnych skrzydeł wichrów, a wśród majestatycznego milczenia puszcza odwiecznych nakazuje myśli człowieka oderwać się od ziemi i lecieć do słońca, przez czyste przestwory eteru. Longfellow umie też tak się podnosić czasami, miewa uskrzydlenia ducha podniosłe, ale ten, któremu poezja objawiła się głównie pod postacią idealnego Pana, to natura przedewszystkiem kontemplacyjna, daleka od gorących uniesień serca, wśród których poeta czuje, „cierpi za miliony“. Charakterystycznym rysem tu jest, że *Duch poezji* mieszczący się w zbiorze *Earlier Poems*, napisany był za uniwersyteckich czasów poety, zatem wtedy, gdy młody zapal wybuchy zwykle najsilniej i pragnie łamać to: „czego rozum nie łamie“, pragnie przyprzyć się ramieniem do ramion współczujących i bryłę ziemi z posad wysadzić. U Longfellowa nie istnieje ślad żaden pokuszeń podobnych: spokojny on jest, harmonijny i cichy w sobie już wtedy i tylko łagodnie melancholijny. Cały zbiorek pierwszy zapełniają obrazy przyrody, oraz wrażeń, jakimi ta przyroda działała na niego, i wyjątek stanowią tu jedynie dwie poezje: „Pogrzeb indyjskiego wodza z pokolenia Minnisinków“ i „Hymn Sióstr Morawskich“, śpiewany przy poświęceniu chorągwi Pułaskiego. I tu przecież poeta nie zapala się, nie unosi żadnym porywem ducha gorętszym. *Pogrzeb Minnisink'a* to obraz także na tle piękna przyrody kresłony. Słońce zachodzi; na stoki wzgórz, na gąszcza bukówin zaczynają już padać cienie ukośne, ale ognista luna przenika przez liście klonów i napełnia las glorią blasków gorących, gdy w oddali zamglone pagórki rysują się niebiesko na tle światła różowego. Białe obłoki zawisną na jednym, samotnie w górę wystrzelonym szczyście ostrokręgu i tworzy niby obraz tych jezior srebrnych z krainy wieczności, kędy dusze Indian przebudzają się po śmierci. I słyhać też indyjski hymn pogrzebowy: wietrzykiem wieczornym kołysane gałęzie drzew szumią, śpiew rozlega się uroczyście, żalony i orszak ludzi pierwotnych, ludzi mocnej ręki, surowego serca posuwa się, aby złożyć w grób wodza swojego. Pokrywa go całun skór sarnich, na piersiach ma kirys pleciony z sitowia, przy boku leży ciężki oręż wojownika, koń bojowy rży żalostnie; lecz martwy już i zimny nie wstanie on, grzywy jego nie chwyci. Młody, żył krótko, nie widział śniegu zim trzyczciestu, oddał życie w jego kwiecie pełnym, poeta przecież ani się pyta: za co? dla czego? Widzi obraz piękna i kresli go: orszak płaczek żałobnych, dzikiego rumaka, który pada przeszyty

strzałą, aby jeździec znalazł go po drugiej stronie grobu. Maluje to—artysta....

Niemal to samo powtarza się przy hymnie Sióstr Morawskich. Jest to również chwila zachodu; poeta, wstępując pod sklepienie starego kościoła, widzi jak ognisty blask światła bije przez szyby, opromienia posagi i pada promieniem gorącym na karmazyn chorągwi, zwieszającej się nad ołtarzem, i uderzona wyobraźnia każe mu przenieść się w tę chwilę czasu, gdy wzruszone głosy zakonnice odzywały się z poza kraty do rycerza, który ją brał poświęconą. — Bierz ten sztandar — śpiewają — a pieśń, którą poeta tworzy, jest piękną, jest szlachetną, niemniej niema tu ani jednej iskrzy tego gorącego płomienia zapalu, który przenika piersi młodzieńcze dla spraw świętych a wielkich. Longfellow zdaje się również widzieć i tu tylko piękno — piękno poetyczne zawodu rycerza. Ten człowiek ze stron dalekich, co tu przybył walczyć za jego kraj, kraju tego zapasy krwawe, to nim nie wstrząsa, nie roznamiętnia go, ogniem piersi mu nie zapala. Niema w nim ani jednego takiego drgnięcia i czuć tu, jakgdyby brak struny, która powinna była wibrować mu w sercu. Jest to poeta z rodu ludzi nowych, syn osadników na nowinach świeżo wytrzebionych, ma on kraj rodzinny, ale nie ma tego, co Rzymianin nazywa *Patria* — i dla nas Europejczyków, dla nas ludzi starego gruntu i tego zakorzenienia w nim, które daje duchowi naszemu nietylko pewne piętno rodzime, to coś, co jest jak barwą i wonią w kwiecie, ale skupienie się, zesrodkowanie uczucia, wspomagające rozwój oryginalności — dla nas taki brak pewnych ideałów przedstawia się jak ubóstwo i chłód serca, jak płytkość uczucia i myśli. I jest też tak niezawodnie wedle miary naszej. Amerykanin nie dostał jeszcze tego bogactwa duchowego, na które składać się musi praca wieków, nie wziął spadku tego miliona miłości, ofiar, walk, poświęceń, które użyźniły narodom starym grunt ich ojczysty — szeregu bohaterstw i czynów wielkich, które się tu pełniły, a które Europejczyk ma zebrane w skarbcu swoim narodowym: w dziejach swojego ludu w pamiętkach historycznych, w tradycjach, które przez tysiące pokoleń urabiały tu serca. Ameryka, będąca dopiero w stanie formacji narodowej, nie może tego dostarczyć dzieciom swoim i kto tam, jak Longfellow, jest istotą poetyczną natchnieniem idealnych, może też tylko w pewnym względzie rozmarzyć się formą piękną zewnętrzną, wdziękiem kształtu i barwy.

Longfellow wyrabiał się przecież na wzorach europejskich: na europejskiej poezji, na europejskiej filozofii, na pojęciach europejskiego rozumu; ale z wszelkim ideałem dzieje się względnie do nas to, co Żmichowska schodząc się ze Schillerem, powiedziała o Bogu: nie dość wiedzieć o Nim, należy Go ucać, — co przecież nie zawsze jest w naszej mocy. Trzeba posiadać na to odpowiednie wyrobienie serca, zdolność ukochania, wiary i zapalu, inaczej, pozostanie to dla nas zawsze wiadomością jedynie, nie potrafimy „wziąć tego w piersi magnetycznie“.

Dlatego-to Poe, duch z natury głęboki i gorący, stał się wizjonerem i szaleńcem; nie mógł „wziąć w piersi magnetycznie“ tego, co ściagał tęsknotę namiętną, z czego mógł jedynie stworzyć ideał dla wierzeń i miłości swoich. Ztąd też niższy od Longfellowa talentem, artyzmem twórczym, jest w znaczeniu europejskim wyższym niż on poeta, zwaryowanym, niestety!

Młodzieńcze natchnienie, przemawiające u Longfellowa przez *The Spirit of Poetry*, byłoby mogło stać mu się przewodnikiem dobrym w krainie poezji. Ow duch, przebywający wśród wód i lasów, byłby to jak Wirgiliusz dla Dantego, kierownik, któremu należało się poddać, a byłby nie wątpliwie zawiódł go do pani rajskich dziedzin, do poezji oryginalnie z serca tryskającej. Idąc za jego głosem, byłby tam zaszedł w pełni sił młodych i niewyłamanych naśladownictwem, byłby się znalazł u tych wigwamów Indyjskich, w których podслуchał później *Pieśń o Hiawacie* — i byłby się stał z niego rzeczywiste pierwszy narodowy poeta Nowego Świata. Okoliczności życia stanęły mu przeszkodą wśród drogi, praca na chleb, na stanowisko między ludźmi, odciągnęła go

w stronę przeciwną tem zdradliwiej, że nie zdawała się mieć pozorów niebezpieczeństwa.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Łowczy, niespodziewający się obelgi takiej, choć nadzwyczaj porywczy był, bo wiedziano, że na polowaniach, ludzi, będąc w passyi, kilku ubił na miejscu, — zdretniał i gniew mu na chwilę odjął siły.

Na biednego chłopca, który bronić się nie śmiał napasać w lesie, inna była rzecz, niż na silnego i uzbrogonego, odważnego i już zrozpaczonego Butryma.

W chwili, gdy Wolski się namyślał i mitygował, a w gębę mu zaschło z gorączki, Marcyan konia zwolna zawrócił i stępią począł jechać precz, przez plac, ku wielkim wrotom. Łowczy myślał zrazu kazać go ludzkiem związać, lecz przypomniał sobie że nie był w Białej, sam prawie, niewiedząc co czyni, chwycił pistolet z olster i... palnął. Chciał strzelić raczej, bo na panewce prochu nie było i klapnęło tylko.

Posłyszawszy to, Butrym głowę odwrócił, sztyrdersko zaryhotał, ramionami potrząsł i pojechał dalej.

Naprawdę nie wiedział jeszcze ani dokąd jedzie, ni co zrobić, miał jednak mocne postanowienie do tej psiej służby (tak ją sobie nazwał) nie powracać. Okrutnie go bolało, że niezmierny trud poniósł około przygotowania tych łowów, nie jedząc, nie śpiąc, żrąc się z ludźmi, zdrowie nadwreżywszy, ażeby potem truteń nagrodę wziął za jego pracę.

— Niema chyba sprawiedliwości na świecie, — wołał, wyjeżdżając za bramę i myśląc dokąd się uda.

Zdawało mu się, że powinnością jego było jechać do księcia i, jeżeli nie poskarżyć, bo to już na nic się przydać nie mogło, to przynajmniej żal swój wylać. Ale nie wiedział, z rana przybywszy, gdzie szukać chorążego, a na placu dozorca fałszywie mu donieśli, że miał stać na Pradze we dworze hetmana Branickiego.

Udał się więc wprost na Pragę. Przez drogę gniew jeszcze taki nim miotał, że nie widział i nie słyszał się wkoło niego działo. Konia popędzał, na tłum nie zważał, niejednego potracił, niejednego go popchnął i pojął: ale co to teraz obchodzić mogło!

Nagle z zemstą w sercu znaleźć się na bruku: największy to hart duszy złamie. Zjeżdżał z mostu, rozglądając się, gdzieby ten dwór Branickich znaleźć; gdy, oczom nie wierząc, naprzeciw siebie ujrzał jadącego z drugim mężczyzną brata!

Damazy, rękę do góry wyciągnawszy, głośno go witał, lecz, po twarzy poznawszy, że Marcyana musiało coś spotkać nadzwyczajnego, zaraz radość tę pohamował. Zbliżyli się do siebie.

— To towarzysz mój z Lunewilu, Bohuszewicz Karol, — odezwał się Damazy. — A ty, jakżeś swój tabór mógł opuścić?

— Trudno ci odpowiedzieć, — zdobywając się na spokój, odparł Marcyan. — Okazało się, że ja głupi dał się wywieźć w pole. Życia i zdrowia nie lutując, męczyłem się usługując księciu do takiej imprezy, że jej ludzie, patrząc na nią, wierzyć nie chcieli. Ledwie przybył na miejsce, wpadł ten łajdak Wolski, odbierając mi komendę, jakoby z rozkazu księcia. Przemówiliśmy się brzydko. Pojechałem precz, ze służby kwietując.

Damazy słuchał, zdziwiony.

— Strzelił jeszcze do mnie na odjeźdźnym z pistoletu, — dodał Marcyan, — zato, że go mechem nazwał, ale mu nie spaliło! Muszę do księcia jechać! księżę na Pradze.

— Gdzie tam! w pałacu hetmana w Warszawie, — rzekł Damazy, — ale pocóż do niego? On a Wolski to przecież jedna myśl i ręka. Darmo będziesz głębiej studiował i grzbiec nagiął: kiedyś porzucił niewolę, niema co do niej powracać.

Stał zamyślony Marcyan.

— Wiecie co! — wtrącił Bohuszewicz. — Jest o czem gadać i radzić; u Damazego alkierz taki, że we trzech, jak śledzie w beczce, będziemy się dusili: jedźcie do mnie.

Spojrzeni po sobie. Marcyan milcząco przyzwolił, nie miał co lepszego do roboty. Ze skargą do chorążego zawsze czas było, a on sam teraz już rozmyślał, że ona się na nic nie przydała, chyba księcia jeszcze sobie więcej narazić.

— Aleś ty raz w życiu miał rozam, widzę, — odezwał się do Damazego, — boś do Warszawy ścigał, pewnie szukać służby.

Uśmiechnął się Damazy.

— Nie domyślasz się, — rzekł, — że księżę przez zazdrość Zaborskim za sobą jechać kazał, a jam za niemi pociągnął. W podróży i tu na miejscu może się zrzeczność lepsza nadarzy, porwać dziewczynę.

Wskazał na Bohuszewicza.

— Oto mój sprzymierzeniec!

— Masz ich teraz dwóch, — dodał Marcyan, — boć i ja robić nie mam co, a zemścić się nad nimi miło-by mi było.

Podskoczył aż na koniu Damazy.

— Opatrzność bozka! — zawołał. — Dobra nasza! z tobą, z Karolkiem, gdybyśmy we trzech nie podolali temu, nic-byśmy niewarci byli. Bohuszewicz już w fortelcy ma związane stosunki. Pilność nie może być wielka; chyba Pan Bóg nie laskaw, żebyśmy na swem nie postawili. Nie wątpię o sobie, gdym był sam: a co dopiero teraz!

Zarzucając się pytaniami dojechali do dworku, w którym stał Bohuszewicz; a że towarzysza jego na mieście był: znaleźli się tu sami i mogli mówić otwarcie.

Marcyń jeszcze pod wrażeniem tej krzywdy, która mu wyrządzoną została, o niczem nie mówił, tylko o niej się rozgadywał. Jawnem dlań było, że Wolski z góry ukartował tak wszystko, aby ciężar na cudze plecy zwałiwszy, sam zań wziął zapłatę. Bez wiedzy księcia chorążego nie śmiałby był postąpić tak zuchwale.

Z bliższych chorążego znał lepiej Butrym szambelana Kaszyca, i, wiedząc, że on się tu znajduje, do niego udać się myślał z uzaleniem; ale gdzie go tu było szukać?

Godzin parę stękając, gdy Marcyń rękę dał bratu, że z nim razem do wyzwolenia Faustysi należeć chce i będzie; umówili się spotkać na Pradze u Puczka, aby ztamtąd gdzieś większej izby dla obu poszukać i Marcyń do Kaszyca na miasto jechał, poczynając od pałacu Radziwiłłowskiego.

Tu się go spodziewał znaleźć i nie omylił się. Kaszyca był zacny człek, lecz polityk wielki, ze wszystkimi dobrze być umiał. U hetmana w łaskach, u chorążego położony dobrze, z nikim nigdy się nie waśniąc, mitygując spory, pośrednicząc do zgód, umiał i sobie i drugim być użytecznym, lecz energicznego wystąpienia za kims, spodziewać się po nim nie było można.

Z trudnością go na chwilę potrafił wyprosić od księcia hetmana Butrym — i dosyć chłodno całą sprawę swą mu przedłożył.

— Bój się Boga! człowiecze! — przerwał pod koniec szambelan, — ale cóżes ty sobie nawarzył? Wiesz co Wolski u księcia znaczy?

— Cóżem miał począć?

— Akomodować się! — dodał szambelan. — Nie zrywając zupełnie mógłbys mieć nadzieję jakiegoś zwrotu i rekuperacji, a teraz...

— Gdybys pau szambelan raczył nic więcej, jak księciu to przedłożyć? — rzekł Butrym.

— Ale co to pomoże?

Naleganiem Butryma czyniąc zadość, poszedł szambelan do chorążego; a że politykował przybierając się do powiedzenia tej nowiny, godzinę czasu czekać musiał Marcyń, nim powrócił.

Z twarzy mu znać było, że nic dobrego nie przyniósł.

— Cóż księżę?

— Zamruczał pod nosem: — Fumy! fumy! Nie chce słuchać... niech idzie precz.

— Gniewał się bardzo?

— Nie, przyjął to jakby był przygotowanym, — rzekł Kaszyca. — Nie trzeba go więcej drażnić, a gdy łowy królewskie szczęśliwie się odbędą, ktoś przemówi za waćpanem i — zładzimy to.

— Dziękuję bardzo, — odparł Butrym, — ja już do służby księcia chorążego nie wrócę, a z Wolskim rozprawię się kiedyś, nie tak jak szlachcic z szlachcicem, ale jak mu się należy. Szambelan za rękę go pochwylił.

— Daj pokój! chcesz-li być cały! Znasz księcia. Ręce długie ma.

To mówiąc szambelan z miną pełną współczucia pożegnał Butryma, a sam do chorążego powrócił. Był mu wistocie potrzebnym, bo miał właśnie gościa, z którym sobie rady dać nie umiał.

Był to Radziwiłł także, lecz do żadnego z nich niepodobny, chyba z tego, że także dziwakiem był, ale wcale na inny sposób.

Mniejszy wzrostem od swych pokrewnych i imienników, księżę Udalryk, Regimentarz Wojsk Litewskich, Starosta Miński, wyglądał więcej na spokojnego biuralistę, niż na męża rycerskiego zawodu. Mały, przysadkowaty, z głową dużą, oczy mocno wydatne, patrzące bystro, czoło podniesione; ubranie miał na sobie zaniedbane, włos w nieładzie i ruchy zdradzające roztargnienie.

Sławny ze swej uczoności, i pamięci szczególnej, mól biblioteczny, po całych dniach w książkach się grzebał i na wyzwanie po kilka tysięcy wierszy mógł recytować, nie zająkawszy się.

Namiętności jego do nauki wstydzili się inni członkowie rodziny, pocichu powiadając, że im czynił dyshonor. Nikt z nich dotrzymać mu placu nie mógł w rozmowie: więc się go, jak ognia, obawiano. Radzono mu, aby przywdział suknię zakonną, lecz na to się krzywił i do stanu tego ochoty nie okazywał.

Ilerazy spotykał gdzie hetmana lub chorążego, przychodził do nich odwiedzić, pokłonić się i pogawędzić, chociaż od żadnego z nich nigdy nic nie potrzebował.

I teraz też właśnie, w Warszawie bawiąc dla jakichś poszukiwań naukowych, chwilkę wolnego czasu chorążemu poświęcił. Potrzeba było widzieć, jak na siebie spoglądał.

Księżę Bialski bezmała miał go za postrzelonego; Księżę Udalryk swego pana stryja za — umysłowo upośledzonego.

— Osobliwsza rzecz, poufnie się czasem odzywał Starosta Miński — jak ci Radziwiłłowie ubogo wyposażeni przez matkę-naturę! Gdyby tak jeszcze rozum mieli przy tych skarbach, co-by to dopiero było! Wie Pan Bóg co robi!

Rozmowa uczonego z magnatem tylko z pomocą Matuszewicza i Kaszyca jakkolwiek iść mogła. Matuszewicz też na uczonego trochę chorował, sprytu miał niemało, ale cały rozum i zdolności na wyrobki, processy i intrygi polityczne obracał. W potrzebie jednak niezmierną zdolność i przytomność dozwalały mu taką grać rolę, jakiej po nim okoliczności wymagały.

Gdy Kaszyca powrócił do pokoju, w którym nasepiony chorąży siedział, słuchając rozmowy Starosty Mińskiego z Matuszewiczem, księżę Udalryk zwrócił się ku niemu z uśmiechem:

— Wiecie najświeższą nowinę? — której, gdyby prawdziwą nie była, uwierzyć-by trudno?

Matuszewicz potwierdził, iż była wistocie niesłychanie zdumiewająca.

— Cóż to tedy jest? — rzekł szambelan.

— Spotykam wszędzie sceptyków, gdietylko ją niosę, a wiem z najczystszych źródeł.

Oto królewicz nasz, którego księciem kurlandzkim kreować będziemy, wielką miłością goreje — i utrzymują wszyscy, iż ona go do ołtarza doprowadzi.

— Dla kogo?

— Otóż w tem jest węzeł gordyjski — rzekł księżę Udalryk. — Zgadujcie.

— *Spiritus flat ubi vult et amor idem* — przerwał, śmiejąc się, Matuszewicz.

Chorąży, z oczyma wpół zamkniętymi, siedział jak na niemieckim kazaniu.

— Kocha się w Krasieńskiej, starościance Nowomiejskiej, która jak Afrodyta piękną jest, to jej wszyscy przyznają — przecież Barbarą Radziwiłłówną zostać jej będzie trudno.

Chorąży burknął.

— Co za gadanie? gdzie? co? — żeby się księżę kurlandzki z nią miał ożenić? Kochać się — małoż kochanek! czyli August II?

— Przepraszam — przerwał Matuszewicz. — Z tej rodziny jeśli królewiczówną nie zostanie, to niczem innym nie będzie.

Chorąży obejrzał się ku niemu tylko: Matuszewicz oczy spuścił.

— A ja powiadam — skonkludował księżę Udalryk, — że zostanie księżniczką saską; księżę Karol ma być rozmiłowany do szaleństwa.

— Król nie pozwoli — rzekł Kaszyca.

— Pytać się go nie będą — a potem — cicho szepnął Starosta Miński, — będzie udawał, że nic o tem nie wie.

— Bałamutne to są wieści! — zakończył kwaśno księżę chorąży — poniekąd czci domu królewskiego uwłaczające, zatem — lepiej-by ich nie powtarzać.

Pożegnał się natychmiast księżę Udalryk z gospodarzem i wyszedł, a chorąży długo za nim powiódł oczyma. Widać było, że był rad, będąc od niego wyzwolonym.

Matuszewicz pamięć i uczoność pochwalał, ale mu przerwał chorąży:

— Na co mu się to zdało! albo on uczonych nie mógłby mieć na usługi? Ani do palestry, ani na profesora, Radziwiłłowi nie iść — śmiech tylko z siebie robi, regimentarzem będąc nad bibułą.

I splunął chorąży z pogardą i goryczą.

Zobaczywszy Kaszyca, gdy teraz już w poufałym kółku był, zapytał go o Butryma.

— Coż ten jakiś? płacze bardzo?

— Łez nie widziałem, ale nad krzywdą swą boleje — boć czuje się nie bez przyczyny pokrzywdzonym.

Nie odpowiedział ani słowa chorąży.

Późno w noc, Wolski, który cały dzień na Ujazdowskim Placu spędził, aby się obeznać z tem co miał i czem potrzebował rozporządzać — przybiegł do pałacu Radziwiłłowskiego. Hajduk Sawery właśnie miał księcia kłaść do łóżka.

Zobaczywszy go, chorąży zamruczał.

— A co? jużes wyprawil komedya? he? Już.

— Musiałem wszystko przyprowadzić do porządku — rzekł niezmierny Wolski. Księżę temu Butrymowi okazał cokolwiek łaski i powolności, a z nimi — pozwól kurze grzędę, a no zechce wszędy — już mu się zdało, że on tam najwyższym panem i hetmanem. Pod moje rozkazy nie laska było. I tak hardo się stawil, że go musiał nauczyć!

— Cóżes go nauczył? — odezwał się trochę szydersko księżę.

Wolski nie miał się z czem chwalić, do strzału pustego przyznać się nie chciał, zbył pytanie milczeniem.

— Niedźwiedzi wiele?

— Było dwadzieścia — rzekł Wolski, ale przez niedozór Butryma, jeden w drodze padł.

— Łosi? — spytał księżę.

— Sześć, mości księżę — mało — ale temu też Butrym winien — mówił Wolski. Już na Pradze wczoraj, słyszę, wilkowi jednemu dali się wyrwać z klatki, szczęściem, że Maxym za nim pogonił — i ujął go.

— Żywcem?

— Żywcem — dodał Wolski. — Nieporządek był wielki w drodze; koni padło bez miary. — Butrym...

— Daj-że mi z tym kpem pokój — zamruczał chorąży, a pilnuj, aby potem Wolski nie był winien. Spojrzał nań ostro księżę, lecz na faworycie nie uczyniło to żadnego wrażenia. Po małym przedstawieniu księżę, będąc już w łóżku, spytał stojącego jeszcze przed sobą łowczego:

— Jest tam dozór około Zaborskich?

Zamruczał tylko coś niewyraźnie faworyt; bo nie umiał nic odpowiedzieć. Pilnując własnego interesu i zajmując się łowami, na kobiety już do zoru dać nie mógł.

— Daj tam znać do nich — szepnął księżę — że ja

jutro będę. Muszę zobaczyć.... Na galerii acan im też zapomnij miejsca gdzie zrobić, żeby się też temu przypatrzyły, czego, jak żywe, widzieć nie będą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## O MISTYCYZMIE W LITERATURZE

ODCZYT p. Marrené.

W krótkim przeciągu czasu, zaledwie kilku tygodni, miała Warszawa sposobność słyszeć dwa razy o Krasińskim. W Marcu p. Tarnowski zajmował nim liczną publiczność przez trzy godziny w Sali Ratuszowej; teraz p. Marrené w dwóch godzinach, w Sali Resursy Obywatelskiej (w dd. 27 i 29 Kwietnia), zatrzymała na postaci wielkiego poety uwagę owiele mniej licznego zgromadzenia. Tytuł obszerny obejmował rzecz znacznie szcuplejszą, charakterem swoim daleko odbiegającą od literalnego znaczenia wyrazów: odczyt p. Marrené nie był rozprawą o mistycyzmie wogóle, ale rozbiorem *Nieboskiej komedii* Krasińskiego. Tożsamość przedmiotu z odczytem p. Tarnowskiego objawiła się więc w wyborze nie tylko poety, ale i jego dzieła.

Dzieło to wspaniałe, i choć przesadzonem wydać się może pierwszeństwo oddane przez p. Tarnowskiego *Nieboskiej komedii* przed wszystkimi utworami współczesnej literatury europejskiej, nie przestaniemy być z niej dumnymi wobec obcych: to nasz tytuł niepośledni, świetny do międzynarodowej czci. *Nieboska* przedstawia w sobie taką głębokość i bogactwo życia i myśli, taką olbrzymiość pomysłu, taką filozoficzność w przeprowadzeniu go, wreszcie tak nieskalanie czysty, jedyny a świetny idealizm: że jeśli nie w powszechnej, to w naszej literaturze po Mickiewiczu nie znajdziemy utworu stojącego na gruncie współczesności a równie znakomitego. Nieprędko jeszcze zdoła krytyka przeorać to pole urodzajnością swoją zdumiewające: nie też dziwnego, że coraz-to nowe umysły, od Ropelewskiego i Mickiewicza zacząwszy, zatrzymują się na niem: dla estetyki, dla zasad życiowych posiada *Nieboska* urok potężnie przyciągający. Zamało jeszcze piszemy i mówimy o tym utworze, jak wogóle zamało zajmujemy się działalnością wielkich poetów naszych. Porównajmy tylko to, co zrobili Niemcy dla Goethego i Schillera, z tem, co my robimy dla trzech wieszczów swoich.

P. Marrené, dokładniej niż to uczynił p. Tarnowski, otworzyła przed słuchaczami swymi wnętrza utworu. Mniej było w jej wykładzie przytoczeń, ale więcej ogólnego wyobrażenia budowy i przedmiotowego wystawienia treści. P. Tarnowski, więcej estetyk, choć bez ścisłości i ładu pożądanego, unosił się nad pojedynczymi ustępami, robiąc wycieczki — coprawda bez wyjątku prawie piękne — w dziedzinę ogólniejszych, żywo poruszających stosunków; p. Marrené, mniej z estetycznego a więcej z życiowego stanowiska, starała się ukazać pochod myśli twórczej, wytłómaczyć go z rozwijających się scen i dyalogów, a idąc za poematem, patrzeć zarazem i w ślady, jakie zostawiła człowieczka stopa Krasińskiego na ziemi. Podmiotowy związek hr. Henryka z samym twórcą nie daje się jeszcze z wykładu tego oznaczyć, a choćby tylko umiejętnie zarysować, ale do odkrycia go prelegentka szczerzej i lepiej się wzięła od swego poprzednika. P. Tarnowski uważa i Henryka i Pankracego za przedstawicieli dwóch światów, obu zarówno bez słońca idei dodatnich; ale z nich jeden tylko wyraźnie, mianowicie wyobrażany przez przewodniczącego tłumów, żyć nie ma prawa. P. Marrené przedewszystkiem uważa hr. Henryka za przedstawiciela szlachty, a Pankracego za przewodniczącego ludu jako jej antytezy. Przypisując Krasińskiemu wyznawanie doktryny o wiekuiściej małości mas ludowych, prelegentka bierze pocie za złe to, że był ich właśnie od bytu sfer

wyższych zależnym uczynił. Niekrepując się względami, które p. Tarnowski uszanować sobie postanowił, p. Marrené nie zostawia znaku zapytania przy owej kochance Dziewicy-Marze rozpoczynającej poemat, ale wręcz odpowiada, że w stosunku do hrabiego jestto ideał przeszłości tego stanu, który w nim ma swego przedstawiciela: ideał wsteczny *par excellence*. Z nim-to rozstać się musi Henryk, a nie z żadną wiosenną kochanką swego życia, ani też nie z poezją jako idealną potęgą duszy, — jakby ową dziewicę uważać można.

Mamy tedy przed sobą zamiast omówień i niedomówień jasne, ściśle określone kształty myśli. *Nieboska* jest walką dwóch światów ludzkich: jednego, który się kończy, drugiego, który się zaczyna. Jeżeli który z nich nie ma prawa żyć, to zaiste, pierwszy. Oba te światy występują do walki, oba zamieniają się w walczące obozy. Na czele ich stoją, według obu wykładów ze sobą tu zestawianych, ludzie jednakowo żadnej niemający wiary. Dla p. Tarnowskiego Pankracy niewierzący w nic innego, tylko w swój rozum, jest człowiekiem w nic nie wierzącym; dla p. Marrené ma on prócz wiary w swój rozum, jeszcze i wiarę w rozum ogólny, który do nikogo nie należy. Poeta ukazał nam go w zupełnem oderwaniu od uczuciowego, osobistego życia; ukazał, nie jako człowieka, ale jedynie jako wodza żądz, wodza tłumów żądzą tą zięjących. Odmówił mu wszelkich ideałów dodatnich; ale nie uczynił tego stronnictwo przez pochylanie się ku Henrykowi i jego sferze: boć i Henryk żadnego już ideału niema i równie jak Pankracy nie wierzy w sprawę swoją, w zwycięstwo. Ale czy taki bohater, taki obóz i takie rozwiązanie, jakie nam daje poemat, są koniecznością prawdy życiowej, czy tkwią w samej istocie przedstawianych idei i stosunków? P. Tarnowski na to pytanie odpowiedział twierdząco; p. Marrené wcale go sobie nie zadała. Nie poprzestając na brzmieniu *Nieboskiej*, prelegentka zestępowała kilka razy do *Niedokończonego poematu*, i ze Snu Młodzieńca wysnuwała dane do poglądu na charakter zasadowy i dążność, nie tylko rozbieranego utworu, ale i samego ducha poety. Pod tym względem obowiązek krytyki owiele lepiej był spełnionym w odczycie p. Marrené, niż w wykładzie p. Tarnowskiego.

To zwracanie się do *Niedokończonego poematu* nie tylko pogłębiło wykład *Nieboskiej*, ale, samo w sobie rozumne będąc, dowiodło sumiennosci i zarazem bystrości w opracowaniu. Nie należy wprawdzie przeceniać związku między obu utworami: genetycznym on nie jest, istnieje tylko przez jedność osób, stosunków i działających idei. Prelegentka pojęła ten związek właściwie; w zestawieniu obu bohaterów w Podziemiu i w rozmowie ostatniej przed szturmem do Okopów umiejętnie ukazała ruch wsteczny, jaki się w umyśle poety przez lat kilkanaście dokonał. Cała charakterystyka *Niedokończonego poematu*, ujęcie w nim roli Dantego, wolnomularstwa, duchów w Śnie, określenie kwestyi kobiecej — odpowiadały istocie utworu, rzucając promień poznania w głębie talentu Krasińskiego, w mrok jego serca. Nowem, dla nas przynajmniej nowem, było spostrzeżenie, że ideał niewieści Krasińskiego jest zawsze istotą nieszczęśliwą, w niewolę poddaną, a niekiedy i shańbioną; taki zaś ideał nie mógł być czysto oderwanem wymarzeniem poezji, ale musiał być życia wytworem. To, co powiedziała prelegentka o kobiecie i kwestyi kobiecej u Krasińskiego, było pięknem a rozważnem: umiała p. Marrené w porę rozproszyć mniemanie, jakoby poeta dawał kobiecie pozwolenie na *amour libre*, w szlachetniejszym nawet miłości takiej znaczeniu.

Przyczyn i dążeń samej walki, treści sporu rozstrzygniętego rzuceniem się Henryka w przepaść, a jękiem Pankracego *Galilaei vicisti* — nie włożyła nam p. Marrené: wcale więc niepotrzebną i nieusprawiedliwioną wydaje nam się napaść na Krasińskiego za to, iż lud za wiecznie małeletni uważał — tem mniej, iż dowodu na to szukać było potrzeba aż w *Psalmach*, które bezpośrednio pod wykład nie podpadały. A jakż to był dowód i czy był? Odpowiadamy, że *Psalm* właśnie przynoszą dowód przeciwko twierdzeniu prelegentki, a nie za niem. Krasiński był

najmniej tam nie głosi niewolniczego poddania jednego żywiołu pod drugi, ale je, przeciwnie, łączy i wzajemnie przenikać się im każe dla wspólnego życia. Mówiąc o Obozie Pankracego, p. Marrené do rzędu komunalów tam wygłaszanych zalicza i to, że lud sam przez się w jednostajnej, jednolitej formie ludu istnieć nie może; że ze zniwelowanego społeczeństwa natura wyprowadzi znowu arystokrację i nierówność, wyższych i niższych, słabszych i silniejszych. Nam zdanie to nie wydaje się komunałem. Przedmiot jego stanowi do dziś dnia poważne zagadnienie nauki społecznej. Owa naturalna siła nierówności jest taranem burzącym demagogią *in thesi*, — wywrającym z podstaw hałaśliwą doktrynę o wszechwładztwie ludu, o owem „wszystkiem przez lud i dla ludu“. Nie o komunał tu idzie, ale o granitową prawdę, którą pokolenia przyszłe jaśniej może od nas widzieć i silniej wyznawać będą.

Nie przekonała nas p. Marrené, żeby Krasiński w *Nieboskiej* był mistykiem; mógł on nim być w *Głosie św. Teresy*, w ustępach *Przedświtu* i *Psalmów*, ale nie był w *Nieboskiej*. Cały wstęp do odczytu miał podstawę nieracjonalną. Prelegentka uważa mistycyzm za część składową romantyzmu, nad którym z całą pewnością siebie zapuszcza już *in aeternum* wieko trumny. Przedewszystkiem należało powiedzieć, co jest mistycyzm a co zabobon, co romantyzm a co poezja w ogóle. Niescisłość założenia uzasadnia mniemanie, że dla p. Marrené mistycyzmem jest wszelka religijność w poezji, wszelkie odwołanie się do potęgi stojącej nad światem, każde westchnienie do Boga, każde tęskne spojrzenie w wieczność i rwanie się serca z pęt ziemi. Trzeźwość pani Marrené każe jej samo już wzbijanie się nad rzeczywistość za grzech uważać. Poezja na gruncie skończonej rzeczywistości, w granicach skończonego świata, stać, wiedzę, naukę szanować powinna; lekceważył nieraz tę wiedzę, nieraz w religijność przyodziewał się romantyzm i zato teraz prelegentka trumnę mu sprawia; Mickiewicz nawet jest winowajcą, bo „mędrkami“ gardzi i zachęca innych do łamania tego, czego rozum nie złamie; każe mieć serce i patrzeć w serce, a o rozsądku, o rozumie milczy. — Takie rozumienie romantyzmu, musi być nierozumieniem poezji, a co ważniejsza, jej żywego źródła: poetyczności. Ztąd też p. Marrené lepiej umie wyłuszczać zasady, któremi poeta łączy się z powszechnością oświeconą swego narodu lub pewnej jego części, niż wydobywać cechy rzeczywiste pięknotworu, jako dzieła poetycznego. Pozytywizm wszędzie dobrym być może, tylko nie tutaj: poezja albo pozostanie i będzie romantyczną, t. j. poezją serca i wyobraźni, jaką zabłysła już w Shakespeare'ze, albo nie będzie wcale.

Nie mamy prawa brać prelegentki na konfessaty, ale zdaje nam się, że gdyby ją jakaś konieczność zmusiła do wyboru pomiędzy arystokracją i demokracją, nie namyślałaby się ani chwili i tę ostatnią wybrała. Tem większe uznanie wzbudziła w nas równowaga w myślach, sumiennosc w ocenieniu, kolorytu, jaki nadał obu obozom: starego i nowego porządku rzeczy, Krasiński. Poeta, zdaniem p. Marrené, pomimo warstwowej jednorodności swej z Henrykiem umiał być szlachetnie sprawiedliwym w ustosunkowaniu obu zapaśników pomiędzy sobą.

Takie same zdanie wygłosił już był p. Tarnowski; ale w wykładzie zeszlotygodniowym położono większy znacznie nacisk na szlachetną postać Leonarda, przez co cały Obóz Pankracego w korzystniejszym jeszcze ukazał się nam świetle. Rozwiązanie poematu uważa p. Marrené za artystycznie wielkie, pod estetycznym i etycznym względem zarówno wspaniałe, świetne: genialny tylko twórca mógł tak złamać Pankracego samą jedynie mocą odplacającej sprawiedliwości. P. Tarnowski w krzyżu wziętym z legendy o Julianie Odstępcy widzi świat nowy, po upadku dwóch dawnych począć się mający; u p. Marrené krzyż jest tylko narzędziem upadku dla tego z dwóch światów, który jeszcze przy życiu pozostał.

Ostatecznie wykład p. Marrené jest jedną z tych prac krytycznych, które mają prawo żyć dłużej, niż przez bieżącą tylko chwilę. Jako studjum, jako krytyka, ma on niezaprzeczoną wyższość nad

wykładem p. Tarnowskiego: daje lepsze o *Niebo-  
skiej* i samym jej twórcy wyobrażenie. Zarówno  
w treści jak w formie był ten wykład ściślejszym:  
mieliśmy tu nie pogawędkę, ale rzecz porządną,  
poważną. Styl poprawny, potoczny, żywy zalecał  
się ciepłem i w wielu miejscach obrazowością. Nie-  
liczne dłuższy łatwo poskracać. Można wyszar-  
pnąć jeden drugi szczegół: całość jeszcze zasobna  
i zażywna zostanie. Prelegentka dobrze się z za-  
dania swego wywiązała.

S. K.

## Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Marcu 1882 r.

Deotyma we Lwowie. — Odczyt Tonnera. — Odczyty p. Felicy  
Boberskiej *O znakomitych mężach Wieku Zygmunto-  
wskiego* i p. Ludwika Wierzbickiego *O ceramice*. — Garnce-  
rstwo dzisiejsze. — Wystawa stolarszczyzny w Muzeum Przemysłowem zapowiedzia-  
na. — Wyjazd prof. Ochorowicza. — Czynności *Koła literackiego*.  
Towarzystwo Oświaty Ludowej. — „Opatrzność”. — Dom pracy  
i przytulku. — Woda we Lwowie. — Teatr amatorski i żywe obra-  
zy. — Obecny stan teatru. — Wystawa obrazów. — Grupy symbo-  
liczne przed gmachem sejmowym. — Płaskorzeźby Szimsersa. —  
† Alfred Młocki.

(Dokończenie).

Muzeum przemysłowe zapowiedziało na jesień  
wystawę stolarską. Powodzenie zeszłorocznej  
wystawy robót kobiecych podało myśl urządzania  
corok wystawy pewnej gałęzi rękodzielnictwa.  
Na rok bieżący obrano stolarszczyznę. Wystawa  
ma się składać z trzech działów, mianowicie  
z działu stolarszczyzny zwykłej, obejmującej  
sprzęty do powszedniego użytku i ze stolarszczy-  
zny już artystycznego wyrobu cechy posiadającej;  
w końcu z wyrobów przemysłu domowego włó-  
ściankiego. Dział to obfity; w każdej okolicy  
włóścianin zaopatruje swą chatę sprzętami spor-  
ządzanymi przez domorosłych rękodzielników,  
posiadających zręczność w wyrabianiu pewnych  
przedmiotów niezbędnych w codziennem życiu  
włóścianina, a pewne odmienne cechy w różnych  
okolicach noszących, stosownie do rozmaitych miej-  
scowych upodobań i zwyczajów. Zwłaszcza gó-  
rale wszystkich okolic posiadają zręczność w wy-  
rabianiu przedmiotów tego rodzaju, a szczególnie  
odznaczają się talentem do snycerstwa. Dział ten  
wystawy może być zatem bardzo urozmaicony i  
obfity, chociaż arzymem pomysłu i wykończenia  
nie dorówna zapewne innym, uszlachetnionym już  
przez sztukę i naukę. Wystawa tegoroczna ma  
stać się zarodem szkoły stolarstwa, o której za-  
łożeniu myślę tu zaczynają, do czego pierwszym  
krokiem jest utworzona już przy muzealnej szkole  
modelowania szkoła snycerstwa, złożona z kilko-  
letniego kursu, którego jeden z głównych oddzia-  
łów stanowi nauka artystycznej ornamentyki sny-  
cerskiej i zastosowana do niej nauka rysunków.

Z grona sił nauczycielskich tutejszego uniwer-  
sytetu ubywa prof. Ochorowicz, który, przybywszy  
tu z Warszawy, przez dłuższy lat przeciąg jako  
docent zajmował katedrę na wydziale filozoficz-  
nym uniwersytetu i na akademii technicznej. Nie  
otrzymawszy dotąd nominacji na stałego professo-  
ra, Ochorowicz bierze urlop na czas dłuższy i  
wyjeżdża do Paryża dla oddania się tam wyłącz-  
nie badaniom nad magnetyzmem zwierzęcym i  
wszystkimi spokrewnionymi z nim objawami,  
stanowiącymi dotąd jeszcze tajemniczą, bardzo  
mało zbadaną, stronę świata fizycznego. Ocho-  
rowicz oddawna zamilowany był w badaniu tego  
przedmiotu i młodzieńcem jeszcze ogłaszał już  
sposprzeżenia i rozprawy w tym względzie, suro-  
wo w swoim czasie krytykowane. Nie zrażając  
się wszakże krytyką, nie ustawał w badaniach i  
dociekaniu mglistych zagadek, chcąc je światłem  
ściślej umiejętności objaśnić. Ze wzrostem do-  
świadczenia badania te stawały się coraz poważ-  
niejszymi i ciekawszymi, a od czasu pobytu we  
Lwowie magnetyzera Donata, zeszłego roku,  
Ochorowicz z większą jeszcze gorliwością poświę-  
cił się badaniom, do których nowy pocho-  
p dały mu

doświadczenia i popisy tego właśnie Donata przed  
tutejszą publicznością. Wyniki badań Ochorowicza,  
od tego czasu uczynionych, znane są publiczności  
tak lwowskiej, jak krakowskiej i warszawskiej,  
z prelekcji jego publicznych, połączonych z do-  
świadczeniami hipnotycznymi i magnetycznymi.  
Nauka ma to do siebie, że w miarę postępu coraz  
bardziej rozciekawia i jakby urocą potęgą pory-  
wa umysł. Urokowi temu już się nie oprze, kto  
go raz doznał. Doświadczenie idzie za doświad-  
czeniem, myśl jedna wywołuje szereg następnych,  
otwierających badaczowi coraz nowe światy, coraz  
bujniejszymi, obfitymi darząc go plony. Nie  
dziwimy się zatem, że uczony badacz, że młody  
professor dąży tam, gdzie się spodziewa znaleźć no-  
we żywioły do rozszerzenia widnokręgu wiedzy, bo-  
gaty zasób do pracy, uroczym nęcącej go powabem,  
ale zarazem i żal nam tracić ze swego grona zdol-  
nego i sumiennego pracownika, który sobie umiał  
zjednać tu powszechną sympatyę. *Koło literackie*,  
do którego założycieli należał Ochorowicz, a póź-  
niej przez cały czas był nieprzerwanie członkiem  
jego zarządu, pożegnało go na ostatniem swem ze-  
braniu serdecznie i ofiarowało pierścienią pamiąt-  
kową, kosztem spólnym składkowym sprawioną.

*Koło literackie* pod przewodnictwem dzisiejszego  
swego prezesa, prof. Kubali, rozwija coraz szerszą  
działalność w kierunku naukowym i literackim;  
czasem może ona przybrać znakomite rozmiar-  
y, jeśli tak dalej będzie postępować. Przyjęła  
się mianowicie wiele obiecująca myśl zawiązywa-  
nia w gronie *Koła* specjalnych sekcji, uprawia-  
jących pewne osobne działy pracy literackiej.  
I tak zawiązana sekcja filologiczna przedsięwzięła  
opracować i przyswoić literaturze naszej we  
wzorowym przekładzie starożytnych klasyków, a  
sekcja słownikowa podjęła zadanie czuwania nad  
czystością języka polskiego, wykazywania wszel-  
kich każących go zwrotów, coraz bardziej się u nas  
rozpowszechniających, odgrzebywania ze starych  
pisarzy swojskich, duchowi języka odpowiednich  
form, zwrotów i wyrazów, a w dalszym pracy tej  
rozwoju, ułożenia słownika, mogącego służyć za  
uzupełnienie dzieła Lindego, — obejmujące to, co po-  
stępnowszych czasów, zgodny z duchem języka,  
do skarbnicy jego dorzucił. Sekcje zbierają się  
co dwa tygodnie i poddają pod ogólne rozprawy  
wynik prac w tym przeciągu czasu przez człon-  
ków każdej sekcji z osobna dokonanych. Komit-  
et konkursowy, mający ocenić nadesłane z oka-  
zety jubileuszu obrony Wiednia prace o panowaniu  
i epoce Jana Sobieskiego, zgromadza się regular-  
nie i wkrótce ogłosi już wynik swego sądu. Praca  
obdarzona nagrodą będzie zaraz drukiem ogło-  
szona.

Najmłodsze z tutejszych towarzystw, *Towarzy-  
stwo oświaty ludowej*, krząta się bardzo gorliwie  
około zakładania czytelni dla rzemieślników i  
w ogóle dla całej ludności przedmiejskiej po  
wszystkich tutejszych przedmieściach. Mamy  
już założone takie *czytelnie* połączone z wypoży-  
czalnią książek na przedmieściach: Żółkiewskiem,  
Janowskim i Zielonem. Dobór znajdujących  
się w nich książek odpowiada przeznaczeniu czy-  
telni. Towarzystwo stara się zaopatrzyć je takie-  
mi książkami, których treść odpowiada zajęciu,  
potrzebom codziennym i w ogóle stopniowi oświa-  
ty przedmiejskiej ludności. Idąc za przykładem  
Lwowa, zawiązują się takieżsame stowarzyszenia  
i otwierają czytelnie podobne na prowincyi po  
miastach i miasteczkach. Otworzono taką czy-  
telnią zeszłego tygodnia w Sądowej Wiszni  
w Przemysłu na dwóch przedmieściach; a obecnie  
tworzy się czytelnia ludowa w Winnikach, gdzie  
z powodu fabryk tytoniu znajduje się dosyć zna-  
czna liczba inteligentnej ludności fabrycznej.

Kiedy jedni obierają sobie za cel żywić pokar-  
mem umysłowym ubożuchnych na duchu, inni  
krzątają się około tego, aby nakarmić i odziać nę-  
dzarzy wyciągających rękę po jałmużnę groszową.  
Zawiązane przed dwoma laty stowarzyszenie do-  
broczynne *Opatrzność* nie zdołało dotąd jeszcze do-  
piąć zamierzonego celu i usunąć żebractwa z ulic  
miejskich. Próbowano przez ten czas rozmaitych  
sposobów rozszerzenia opieki nad ubóstwem każ-  
dej zimy coraz liczniej zapełniającem ulice i ko-  
łaczącem natarczywie o miłosierdzie pod gołem

niebem i pod kościołami. Rozdawano obiady,  
wsparcie, nastęrczono robotę i zaprowadzono zna-  
czki sprzedawane w biurze towarzystwa, mające  
służyć na jałmużnę zamiast pieniędzy. Uzbiera-  
wszy pewną ilość takich znaczków, każdy ubogi do-  
stawał za nie w miarę ubieranej kwoty wikt,  
odzież, pomieszkanię, słowem to, czego potrzebo-  
wał, jakby za gotowe pieniądze. Urządzenie to,  
bardzo dobre, chroniło ubogich od marnowania na  
pijatykę otrzymanej jałmużny. Ale wielu żebra-  
ków, czyniących sobie z żebrania, jakby osobne  
rzemiosło, niechętnie przyjmowało znaczki takie,  
lub niemi wprost pogardało. Stowarzyszenie  
reorganizowało się i zmieniało kilkakrotnie obrane  
drogi, szukając jaknajskuteczniejszego sposobu  
zapobieżenia żebractwu i podania ręki ubóstwu.  
Obecnie u steru „Opatrzności” stanęła księżna  
Leonowa Sapieżyna i pod jej opieką otworzono  
przed kilku tygodniami *Dom pracy i przytulku*, któ-  
ry skuteczniej zapewne niż wszystko, co dotych-  
czas przedsiębrano, do osiągnięcia pożądanego celu  
się przyczyni. Każdy ubogi, żądający zajęcia, ma  
tam wstęp i zarobek. Chodziło o to, aby wyszu-  
kać dla zgłaszających się stosowne zatrudnienie,  
mianowicie takie, któreby nie przechodziło siły  
robotników, częstokroć starców lub kalek, a za-  
razem było tego rodzaju, iżby dochód przynosiło.  
Jakoż kilku tutejszych kupców zgłosiło się z za-  
mówieniami odpowiednich wyrobów. I tak jeden  
zamówił nieograniczoną ilość pudełek klejonych  
na zapalki i inne tym podobne przedmioty, oświad-  
czając gotowość zabrania ich tyle, ile tylko *Dom  
Przytulku* będzie mógł mu dostarczyć. Oprócz  
klejonek wyrabiają tam także przedmioty koszy-  
karskie i drewnkowe, do rozmaitego użytku; a  
obecnie poddano pomysł sortowania szczeciny.  
Jestto robota lekka, a przytem może być zysko-  
wną, przy rozległym dosyć handlu prowadzonym  
w Galicyi szczecina, która po należytem rozgatu-  
nkowaniu znacznie będzie popłatniejszą na targach  
zagranicznych. Obecnie zatrudnia *Dom pracy i  
przytulku* przeszło trzydziestu ubogich. Zważywszy,  
że dopiero od dni kilkunastu dom ten jest otwarty,  
liczba to dosyć znaczna na początek i zapowia-  
da pomyslną tej pożytecznej, dobroczynnej insty-  
tucyi przyszłość.

Staramy się o chleb dla ubogich, a sami nie ma-  
my wody. Nie brak nam wprawdzie studni, ale  
brak zdrowego napoju i zachodzi obawa, że zgi-  
niemy, nie z pragnienia, ale z przepicia się wodą  
niezdrową. Chemik miejski z polecenia rady  
miasta rozebrał wodę z jedenastu studni lwow-  
skich: okazało się, że w dwóch tylko znajduje się  
woda znośna jakotako dla zdrowia ludzkiego;  
w dziewięciu zaś jest przepełniona częściami orga-  
nicznymi na znacznie wyższym stopniu, niżeli pra-  
widłowe warunki zdrowia na to pozwalają. Nad-  
miar zgnilizny w niektórych studniach okazał się  
przerażającym, zwłaszcza w dzielnicach miasta  
w pobliżu Cmentarza Łyczakowskiego położonych.  
Odkrycie to bardzo przykre uczyniło wrażenie,  
jak łatwo pojąć. Truliśmy się więc i trujemy od-  
dawna nieświadomie, pomimo rady zdrowia, fizy-  
katu miejskiego, i innych tym podobnych rozmaitej  
nazwy urzędów miejskich i departamentów  
magistratu, mających czuwać nad bezpieczeń-  
stwem naszego życia i zdrowia. Za dawnych  
rządów magistrackich więcej zajmowano się formą  
referatów i porządkami biurowymi, niżeli  
porządkiem w mieście. Dzisiejszy prezydent mia-  
sta, Gnoiński, ma trudne zadanie przeprowadzania  
reform we wszystkich kierunkach administracyi  
miejskiej, i pomimo najlepszych chęci i gorliwo-  
ści, nie może wszystkiego naraz dokonać, zwa-  
szcza, że znajduje na każdym kroku przeszkody  
w opozycyjnem Rady Miejskiej stronnictwie, zło-  
żonem z radnych przedmieszczań, mało w ogóle  
z tokiem spraw obznajomionych i potrzeb miasta  
szerszym nieobejmujących poglądem. Jest to stron-  
nictwo, które wiecznie występuje przeciw budow-  
szkół i wszystkiemu temu, co na razie jakiegokol-  
wiek wymaga wydatku, chociażby wydatek ten  
opłacał się następnie dziesięćkroć w swych skut-  
kach. Ależ woda, to przecież rzecz tak niezbędna  
dla każdego, że sprowadzenie jej ze zdrowych  
źródeł, chociażby z jaknajwiększym kosztem pod-  
jęte, nie powinno znaleźć oporu z niczyjej strony.  
I owszem jestto sprawa nagląca, którą przed

wszystkimi innemi, przez wzgląd na zdrowie całej ludności miasta, zająć się należy.

Na rzecz *Czerwonego krzyża* mieliśmy teatr amatorski, połączony z żywymi obrazami, urządzony za staraniem i pod protekcją pani namiestnikowej hr. Potockiej. Przedstawienie powtórzono następnie po cenach niższych zwykłych, dla „szerszej” publiczności, bo na pierwsze bilety wstępu po cenach znacznie podniesionych rozprzedano z góry w kołach zajmujących się urządzeniem tego teatru, tak, iż mało kto nienależący do nich mógł się tam dostać. Przedstawienie składało się z dwóch małych komedijek polskich i francuskiej jednej; ale najświetniejszą jego częścią były żywe obrazy grupowane przez Rodakowskiego. Wybrano umyślnie takie, gdzie było obszerne pole do popisania się świetnością i przepychem strojów, tak kobiecych jak męzkich: mianowicie *Kokosz wojnę* Rodakowskiego i *Tassa na dworze króla Alfonsa*. Układ obrazów był naśladowany z całym znanstwem artystycznym, jak można było z góry przewidzieć, skoro się niemi Rodakowski zajmował; a wszystkie zresztą akcesorya odpowiadały obranym przedmiotom, tak, iż obrazy te uczyniły prawdziwe *furor* we Lwowie i przez parę dni wszędzie o nich mówiono.

Ze zbliżającą się wiosną zwinęta została już opera tutejsza, którą w ubiegłym sezonie na świetnej utrzymywały stopie nasze primadony, pp. Telini, Skalska i Ida Sas. Pomimo wydatków wielkich, połączonych z utrzymaniem opery we Lwowie, a bardzo stosunkowo szczupłej subwencji, otrzymanej od sejmu, Miłaszewski nie szczędził starań, aby mieć operę jaknajlepszą, jaką w stosunkach tutejszych mieć można. Utrzymanie opery dla dyrektora lwowskiego teatru jest najtrudniejszym zadaniem, albowiem, opłacając wysokie pensje śpiewakom i śpiewaczkom, zmuszony bywa zawsze pokrywać z innych przedstawień, mianowicie z komedii i operetki, niedobory opery. Dramat od lat kilku także nie cieszy się powodzeniem. Smak publiczności zepsuty goni głównie za płaskim żartem i lekką muzyką operetkową i tem tylko żywi się jeszcze jako taka kassa teatralna. W takim stanie rzeczy, jak tu myśleć o podniesieniu artystycznym sceny, o doborze repertuaru? *Mundus vult decipi*, publiczność zamiast zdrowego pokarmu, zamiast napoju z czystych źródeł Hipokreny, pragnie oszłomienia, żąda błęźstwa. Cóż ma począć biedny dyrektor, któremu chodzi o życie? Miłaszewski w ciągu roku poniósł podobno znaczne straty, co, rzecz naturalna, musiało paraliżować jego działanie, zmuszało do umniejszenia osoboskładu teatralnego i skrepowało w niejednym kierunku dążności do podźwignienia sceny. Ostatnimi czasy rozeszła się nawet pogłoska, że Miłaszewski, zniechęcony, byłby gotów ustąpić przedsięwzięcia komu innemu. Nie chcemy wszakże przypuścić, aby tak było rzeczywiście, i stawiać horoskopów dalszego losu sceny lwowskiej w takim razie. Miłaszewski jest dyrektorem tak wprawnym i zamięlowanym w swoim zawodzie, tak starannym i pracowitym, że niełatwo mu w tem dorównać, a nakłady, jakie w pierwszym roku poczynił, opłaciły się przecież wczasem, byle nie tracić ducha i nie upadać na siłach.

W drugiej połowie Maja będzie otwarta wystawa obrazów. Towarzystwo Sztuk Pięknych rozesłało już zaproszenia do artystów z wezwaniem o liczne i śpieszne zapisanie dzieł sztuki na wystawę przeznaczonych. Towarzystwo bierze na siebie koszt przewozu dzieł zapowiedzianych, co, rzecz naturalna, bardzo ułatwi artystom możność uczestniczenia w wystawie. Dawniej Towarzystwo czyniło to tylko wyjątkowo dla niektórych dzieł znakomitszych i artystów używających już ustalonej sławy. Była to oszczędność nie na swoim miejscu, albowiem zazwyczaj właśnie młodszy, mniej znani a dobijający się dopiero rozgłosu, artyści bardziej od innych ułatwienia tego potrzebowali. Wystawa będzie, podobnie jak ostatnimi laty, urządzoną w gmachu akademii politechnicznej na Nowym Świecie.

W ciągu bieżącego miesiąca odkryto dwie monumentalne grupy przed głównym wniesciem gmachu sejmowego, — każda złożona z trzech postaci, jednej głównej środkowej i dwóch pomniejszych po bokach; przedstawiają one, jedna *pracę*, druga *oświatę*. W pierwszej, środkowa postać wyobraża przed-

kę snującą pracowicie przędę z kądzieli, obok niej *rolnictwo* w postaci chłopięcia głaszcze baranka, a *przemysł* dzierży młot i kotwicę. Druga grupa przedstawia postaci trzymające godła umiejętności, sztuk i nauk. Obie grupy dobrze pomyslane, wykute z twardego piaskowca. Ocenienie pod względem wykonania pozostawiam specjalnym znawcom techniki artystycznej.

Z powodu rozpoczętej budowy nowego gmachu namiestniczego, którego jedno okazałe skrzydło wystawiono już przed dwoma laty, zaczęto obecnie burzyć część dzisiejszego zabudowania, w którym się mieściło mieszkanie namiestnika, i zniesiono przytykającą doń kamienicę niegdyś Zamojskich, później Młockiego, na której miejscu ma się wznieść nowa budowla, przeznaczona na pomieszczenie namiestnictwa. Była to kamienica pod względem ornamentyki jedyna we Lwowie, zasługująca na uwagę. Z kolumnadą w czystym stylu doryckim, co się rzadko zdarza w dzisiejszych powszednich kamienicach, odznaczających się zazwyczaj zupełnym brakiem stylu, albo potworną, niesmaczną ich mieszaniną, miała ona nadto fryz ozdobiony płaskorzeźbami, przedstawiającymi porwanie Heleny i sceny z wojny Trojańskiej według *Iliady* Homera. Były one wykonane, a przynajmniej odnowione, przed laty, jak świadczył podpis przez tutejszego kamieniarza Szimsersa, który temi rzeźbami dowiódł i zmysłu artystycznego i umiejętności władania dłutem nie porzemieślniczemu. Układ, rysunek, wymodelowanie figur, wszystko tu odpowiadało jedno drugiemu. Podczas restauracji pociągnięto je pokostem, na czem straciła wiele wydatność i artystyczna piękność rzeźby. Obecnie, gdy miano walić dom, zdjęto płaskorzeźby, o których mowa, odczyszczono z pokostu i, do dawnego przywróciwszy stan, złożono w muzeum miejskiem na przechowanie.

Równocześnie ze zburzeniem domu zmarł dawny jego właściciel, jeden z najzacniejszych naszych obywateli Alfred Młocki. Była to postać prawdziwie typowa, charakter niezłomny, piękny w całym tego słowa znaczeniu, a społeczeństwo ze śmiercią jego wielką poniosło stratę. S. p. Młocki wylany był dla kraju, dla sprawy publicznej, dla wszystkiego tego, co miało cel pożyteczny i szlachetny. Odziedziczywszy przed laty trzydziestu milionowy majątek po ciotce, nie szczędził na nic, co w przekonaniu jego na poparcie zasługiwało. Oświata ludu, była tym pięknym celem, dla którego najwięcejłożył, którym zajmował się z całą obywatelską gorliwością. Utworzone przezeń, jego wyłącznie funduszami wydawnictwo książek i broszur ludowych, nie tylko wiele pożytecznego światła rozlało pomiędzy ludnością wiejską i miejską, ale stworzyło, a raczej wyrobiło, kilku zdolnych młodych pisarzy w tym kierunku, których s. p. Młocki około siebie gromadził i do pracy pisarskiej dla ludu pobudzał. Ofiarności s. p. Młockiego nie ograniczała się wszakże na tem jednym polu. Każda sprawa publiczna, każde przedsięwzięcie w dobrym duchu podjęte, mogło liczyć na moralne i materyalne poparcie Młockiego; nie usował się on od żadnej pracy pożytecznej, a gdzie stanął na czele lub rękę podał, tam już można było być pewnym zacości sprawy i uczciwości celu; znany był bowiem z surowych zasad i niezachwianych przekonań. W polityce miał przekonania liberalno-republikańskie, a dzieło jego: *Walka zasad w Europie*, wydane pod pseudonimem *Prawdźca z Kosarzewa*, jest tych przekonań wyrazem dobitnym z konsekwencją i wymową płynącą z głębi przeświadczenia wygłoszonym. Młocki nie posiadał przymiotów parlamentarnych, nie lubił w skromności swojej wysuwać się na widownię publiczną i dlatego, chociaż wybierany kilkakrotnie posłem i radnym miasta Lwowa, składał wkrótce mandat poselski i występował z Rady Miejskiej, poprzestając na cichem, ale niemniej przeto skutecznym działaniu w rozmaitych kierunkach. Chętnie zasiliał funduszami dzienniki, stojące na straży wyznawanych przezeń zasad, hojnie wspierał ubogą uczącą się młodzież. Na każdym polu pracy dla dobra społeczeństwa podejmowanych w Galicyi w ciągu lat trzydziestu ostatnich, spotyka się Młockiego, jego dłoń pomocną, jego myśl ożywczą, jego wytrwałego ducha i zagrzewające sło-

wo. Troskliwie zajmował się „Gwiazdą”, stowarzyszeniem czeladzi rzemieślniczej, dla którego testamentem legował tysiąc guldenów. Był prezesem Towarzystwa Zaliczkowego, członkiem rady zawiadowczej Kasy Oszczędności i wielu innych podobnych instytucyj publicznego znaczenia. Na każdym polu pracy dla dobra kraju i społeczeństwa, strata jego da się długi czas uczuć. Można o nim bez przesady powiedzieć, iż legł w grobie wielki sercem obywatel.

Władysław Zawadzki.

## POMNIK DLA MICKIEWICZA.

Młodzież akademicka w Krakowie od kilkunastu lat już obchodzi pamiętkę śmierci największego naszego poety, wieczorkiem koleżeńskim, na który przybywa stale kilku profesorów wszechnicy Jagiellońskiej. Na jednym z najpierwszych takich wieczorków powstała myśl wzniesienia pomnika wieszczowi, którego prochy leżą daleko na obczyźnie, a pamięć, wbrew obyczajowi wszech narodów i wieków, nie utrwaliła się dotychczas jeszcze w marmurze ni spiżu. Gorące uczucie garstki z trudem wielkim, cierpliwie i wytrwale zaczęło gromadzić pierwsze zasoby, a zjednywając dla siebie coraz liczniejsze i poważniejsze jednostki, coraz większe i wyższe kręgi społeczne, dokazało wreszcie tego, że w ciągu lat kilku zamiar młodzieży stał się wolą powszechną: dziś kraj cały, w najdalszych zakątkach, a poza granicami kraju każdy, kto z nim wędla nie zerwał, uczestniczy w składkach na pomnik dla Mickiewicza.

Gdy pomnik stanie, każdy z pierwotwórców zamiaru będzie mógł z prawowitą dumą sobie powiedzieć: „I ja w tem byłem”.

Pierwsze fundusze zbierała młodzież z ofiar własnych, ze składek osób, które dla myśli swojej zjednać umiała, i z wieczorków umysłnych, urządzanych corocznie w Sukiennicach. Jak składki stały się później publicznymi, tak i myśl prywatna zamieniła się w postanowienie publiczne; utworzył się komitet budowy, na którego czele stanął czcigodny prezes Akademii, Majer, i w końcu 1880 r. można już było powiedzieć, że się powszechności kraju krząta około godnego uczczenia pamięci wielkiego wieszca. Składki płynęły z początku wolno i dopiero, z chwilą, gdy się zbieraniem ich zajęły czasopisma warszawskie, a na ich czele *Tygod. ilustr.*, — który główne na tem polu położył i ciągle jeszcze kładzie zasługi, zbierając najobfitsze dary — sprawa zgromadzenia potrzebnych funduszy, zrobiła postępek taki, że o rzeczywistieniu zamiaru można już teraz mówić jako o rzeczy pewnej, niezawodnej.

Do końca 1880 r. fundusz zebrany przez Czytelnię, a umieszczony podówczas w trzech kassach oszczędności w Krakowie, Lwowie i Przemysłu, wynosił 12.000 złr. Oprócz tego znajdowało się jeszcze jakie 8.000 guldenów, zebrane staraniem osób poza czytelnią działających.

Rok 1881 dodał do summy kwot powyższych prawie dwa razy wziętą jej wartość, i nie bardzo omylimy się, oznaczając ogólną wysokość składek w końcu tego roku na 55.000, w chwili zaś obecnej na 60.000 złr.

Według wykazu Czytelni fundusz w posiadaniu jej będący, a w Kassie Oszczędności w Krakowie złożony, wynosił w d. 1 Listop. r. z. 26.240 c. 35. W ogólnej summie, zebranej od d. 16 Października 1880 r. do d. 31 Października 1881 r., pierwsze miejsce trzymają następujące kwoty:

Składki zebrane przez Redakcyę *Tygodnika ilustrowanego* . . . . . złr. 7.614 c. 15  
Zebrane przez Deotymę (przeszło) . . . . . złr. 6.000  
Złożone na ręce prezydenta miasta Krakowa Weigla . . . . . złr. 7.862 c. 64  
Nadesłane wprost do Kasy Oszcz. . . . . złr. 4.868 c. 49

Od końca 1880 r. do Grudnia 1881 r. sam *Tygod. ilustr.* wraz z drobniejszymi kwotami nadesłanymi mu z innych pism, zebrał rs. 7.117 kop. 36 i złr. 211, co, sprowadzone do jednej wspólnej stopy

daje około zlr. 8.680. Według najnowszego wyka-  
zu, kwota złożona w redakcyi pomienionego; pi-  
sma wynosi rs. 11.000, równające się zlr. 13.000,  
czyli piątej części ogólnej summy, w przybliżeniu  
oznaczonej. Ogólna summa zebrana przez pięć  
pism tygodniowych warszawskich: trzy tygodniki  
ilustrowane, *Przeg. tygod.* i *Biesiadę* przewyższa  
rs. 16.000.

Składki płyną ciągle i płynąć powinny strumie-  
niem jaknajobfitszym, tak, aby Mickiewicz mógł  
mieć dla siebie, nie żadną tam zabaweczkę, cacko  
i prosty znak pamięci, ale wspaniałą pomnik, go-  
dny takiego geniuszu, takiej sławy i takiego dla  
całych pokoleń znaczenia. Nie wolno się nam za-  
wstydzić przed samymi sobą i przed innymi naro-  
dami: albo nie róbmy nic, albo zróbmy już rzecz  
wielką. Przybliżone koszta pomnika odpowiadają-  
cego potrzebie, obliczono na zlr. 100.000: tyle  
zatem ostateczna summa składek wynieść powin-  
na; czyli, że w przybliżeniu jeszcze rs. 30.000 po-  
wszechność nasza złożyć musi, aby się godnie  
z obowiązku swego względem wielkiego imienia  
wywiązać. Niech tylko serce poczciwe dopoma-  
ga zawsze ręce sięgającej po datek, a ręka nie  
uczuje nawet ofiary; bez najmniejszego uszczerbku,  
bez wyrzeczeń się, bez poświęceń żadnych, lecz  
tylko ze szczerą myślą o nadaniu szlachetnego  
przeznaczenia groszowi, tak często marnowanemu  
bezmysłnie — w ciągu jednego roku zbierzemy  
kwotę potrzebną. Patrzmy na Czecków — patrz-  
my, nie potrzebując się rumienić.

Powątpiewanie o możliwości zebrania przyzwoi-  
tych funduszy byłoby zbyt bolesnem, abysmy je  
w kimkolwiek przypuszczać mogli. Dlatego za  
jedyną godziwą podstawę wszelkich projektów  
uwazamy oznaczanie z góry kosztów pomnika na  
100.000 zlr. i zastosowywanie do tego kosztorysu  
wszelkich prac przygotowawczych, a mianowicie  
konkursów.

Zaraz po ożywieniu się składek w 1880 roku  
w Krakowie powstał komitet budowy pomnika,  
początkowo pod prezydencją Dra Majera, później  
Dra Weigla, prezydenta miasta Krakowa. Jed-  
nocześnie z komitetem działać zaczęła komis-  
sya artystyczna pod przewodnictwem p. Pawła  
Popiela; sama jej nazwa wskazuje przeznaczenie.  
Działania obu tych zbiorowisk szły niesporo.  
W Czerwcu przeszłego roku ogłoszono dopiero,  
niezupernie potrzebny, konkurs przygotowawczy,  
mający wynikami swemi dostarczyć dopiero pod-  
staw do ułożenia konkursu stanowczego. Nie na-  
mysłono się jeszcze podówczas: gdzie ma stanąć  
pomnik; jaką winien mieć artystyczną indywidual-  
ność, a więc czy ma być samoistnym, czy też do  
czego innego dodanym, odsłoniętym lub nakrytym;  
wreszcie jakie przyjąć dla niego rozmiary i jaką  
estetyczną głębokość i potęgę: to jest czy pozwo-  
lić artystom na swobodny polot wyobraźni, czy  
też ją skreślać warunkami z góry narzuconymi?

Stan takiej niepewności trwał jeszcze niedawno;  
w tym stanie rozpisywano w Czerwcu r. z. konkurs  
przygotowawczy. Szranki współzawodnictwa  
otwarto dla wszystkich artystów krajowych i za-  
granicznych, pierwszym widocznie nieufając. Ener-  
gicznemu tylko wystąpieniu profesora Szujskiego  
i p. St. Koźmiana, zawdzięczyć należy posunięcie  
granicy kosztów do 100.000 zlr. Niepotrzebnie  
przepisano styl renesansowy. Przy układaniu  
konkursu przewidywano jeszcze ciągle umieszcze-  
nie posągu w jakiej edykule lub gloryecie, coby  
posąg w figurkę mało znaczącą zamienić musiało.  
Oznaczono nagrodę na 1.000 fran., jednocześnie  
zastrzegając, że nagrodzenie projektu, nie nadaje  
prawa do wykonania: zastrzeżenie zbyteczne, je-  
żeli konkurs miał być rzeczywiste tylko  
przygotowawczym. — Nie powiedziano wyraźnie,  
że mogą być nadsyłane zarówno rysunki, jak i  
modele, ale do konkursu przyjmowano jedno i dru-  
gie, przez co niektórzy współzawodniczący znale-  
źli się w warunkach dla siebie mniej pomyślnych.  
Termin nadesłania prac na 31 Grud. 1881 r. ozna-  
czono. Do współzawodnictwa stanęło 26 projektów,  
które komisya, zamieniona w jury, w dniu 12  
Kwietnia r. b. na widok publiczny w Sukiennicach  
wystawiła. W krótkim czasie potem ogłoszono  
werdykt: za najlepszy i najodpowiedniejszy uzna-  
no projekt z napisem: „Spłoszona kraska“. Auto-

rem jego okazał się p. Dygas v. Dykas, uczeń nie-  
gdys Gujskiego, a obecnie Zumbuscha w Wiedniu.

W projekcie p. Dygasa, poeta siedzi, a w ręce  
trzyma jakiś zeszyt czy zwitek. Twarz i postać  
cała ma być starannie wymodelowana; artysta  
dowiedł sposobem opracowania szczegółów nie-  
wątpliwego talentu, ale nie dowiódł go pomysłem.  
Mickiewicz siedzący, z kajetem w ręku: to nie  
wieszcz narodu. Z piersi jego powinien wycho-  
dzić głos do milionów: czyż go ten kajet zastąpi?  
Jest w tym pomysłe coś dotkliwie maluczkiego;  
małym także wydać się musi każdemu bezstron-  
nemu umysłowi poprzestanie na Gerwazym i Pro-  
tazym w płaskorzeźbie, pod postacią poety umie-  
szczonej. Może projekt p. Dygasa był najprakty-  
czniejszym, ale nie mógł być i nie był najlepszym,  
najpiękniejszym, najrozsądniejszym ze wszystkich,  
a taki właśnie tylko zasługiwał na nagrodę.  
Wszelki konkurs, jak obecny, powinien być dwu-  
stopniowym: na pierwszym stopniu należy oceniać:  
które dzieło pod względem ściśle artystycznym i  
duchowym jest najwyższe; na drugim: które da się  
najlepiej, względnie do zewnętrznych warunków,  
ureczywistnić? Werdykt przygotowawczy za-  
nadto, prawie wyłącznie, na ten drugi moment  
nacisk położył.

Matejko i Siemiradzki nie mogli do współzawo-  
dnictwa nie stanąć: czyżem, jeśli nie ich, zadaniem  
było obmyślenie form dla plastycznego wyobrażenia  
geniuszu? Projekt Matejki jest kolosalny, wspani-  
ały, głęboko pomyślany, bogaty i piękny. Ogromem  
swego pomysłu przypomina on niewykonane  
dzieła Michała Anioła, jak grobowiec Juliusza II,  
który mimo wielkości swej, jest tylko częścią  
poczętego pierwotnie w duchu mistrza. Na bo-  
kach podstawy trójgraniastej rzeźby symboliczne  
trzech dzielnic państwa, na podstawie trzy postaci  
konne: Grażyny, Walenroda i Farysa; powy-  
żej czworogran ze scenami i postaciami: z *Pana Ta-  
deusza*; dalej upostaciowania wszystkich główniej-  
szych rodzajów twórczości. Coraz wyżej i wyżej  
piętrzą się i wzbijają tłumy postaci, a ponad  
wszystkimi góruje *Oda do młodości*, którą by ła-  
two w postać samego poety zamienić, że tak po-  
wiemy, wtopić można, gdyby wykonanie całego  
tego projektu możebnem było.

Zalety czystości i wdzięku posiada projekt „*Już  
widno, jasno na ludzi spozieram*“. Przeciwwstawi-  
mu się zamasytostą głównej postaci projekt,  
oznaczony dwunastką. Piękny rysunek „*Pier-  
wszy projekt*“ nie zadawalnia wyobrażeniem samego  
poety.

Komitet budowy, do którego, oile wiemy, należą,  
prócz osób zamieszkałych w Krakowie: August  
Cieszkowski, p. p. A. E. Odyniec, Rodakowski,  
Zacharyasiewicz, Jenike, Plug, postanowił miał  
d. 2 Maja rozpisanie konkursu stanowczego. Oczy-  
wiście, warunków tego nowego współzawodnictwa  
jeszcze znać nie możemy; rozum wszakże upo-  
ważnia nas do mniemania, że ludzie, którym dostał  
się ster sprawy, tak żywo kraj cały obchodzącej,  
nie ułożyli warunków tych przed stanowczem wy-  
braniem miejsca na pomnik. Dopóki mający być  
po głowach jakaś kamienica — do tej ka-  
mienicy pomnik przystawić chciano! — dopóki lu-  
dzie w komitecie i komisyyi zasiadający nie  
zerwą stanowczo z myślą schowania Mickiewicza  
między zaułki franciszkańsko-dominikańskie, lub  
wysłania go na plantacye bądź przed, bądź za  
bramę Floryańską, bliżej lub dalej od Tow. Ubez-  
pieczeń: dopóty artyści będą się błąkać, niepotrzeb-  
nie wyobraźnie wysilać — i *summa summarum* nie  
wyjdzie ze współzawodnictwa rzecz dobra. Mię-  
dzy warunkami konkursu ostatecznego powinnyby  
się znajdować trzy, kategorycznie postawione: 1-o)  
pomnik ma stanąć na placu w obszerności minimal-  
nie oznaczonej; 2-o) ma stać bez edykuly i bez  
gloryety, samoistnie; 3-o) koszta jego mogą nieco  
przewyższać 100.000 zlot. r. Bez tych trzech wa-  
runków, dobra wola na nic się nie zda.

Po rozpisaniu konkursu ostatecznego komitet  
budowy pomnika powinienby nareszcie zrobić to,  
czego dotychczas nie zrobił: wezwać gorąco do  
składek, dać nowego bodźca ofiarności publicznej,  
śmiałej, z większem niż dotąd sercem, wziąć się  
do pracy gromadzenia funduszy, nie uważając  
zadania tego za ciężar wyłączny młodzieży aka-  
demickiej i redakcyi; czasopism. Jednocześnie,

gromadząc jaknajwiększe fundusze, dla posunięcia  
ich choćby tylko do ogólnej wysokości 100.000 zlot.  
r., komitet i komisya mają obowiązek przy-  
stąpić do wykonania zamiaru, który przys-  
zło rok temu (w Lutym 1881 r.) już podjęto, ale  
dla wykonania którego, oile z dobrych źródeł wie-  
my, nic nie zrobiono. Trzeba sprowadzić zwłoki  
poety z Montmorency na Wawel, — nie na Skalkę,  
ale na Wawel. Skalka wystarczy dla Długosza,  
dla uczonych, dla poważanych i świętobliwych, ale  
zaciasną jest dla Mickiewicza. Namyslać się nam  
nawet niewolno nad tem: gdzie prochy poety umie-  
ścić. Trzeba tylko robić szczerze: a zrobi się ła-  
two i prędko. Sprowadzenie zwłok będzie tak  
potężnym środkiem do zasilenia funduszu na pom-  
nik, że to samo już komitety i komisyye krakow-  
skie do działania pobudzić powinno. Dalej więc, —  
*sursum corda!*

## DROBNE LISTKI.

Wyprawa Rogozińskiego zwróciła na siebie uwagę  
uczonego świata. Paryżki *Przegląd geograficzny*,  
pisząc o niej, co my już wiemy, donosi, że zamierza  
ona wyładować w południowej części Zatoki Gwi-  
nejkiej, gdzie wzniesie obserwatorium meteoro-  
logiczne i posunie się ztamtąd w głąb dla pozna-  
nia dotąd nieznanych krain. *Revue de géographie* są-  
dzi, że podróżnicy spotkają się tam ze znacznymi  
rzekami i odkrywają nową seryą wielkich jezior. Na  
nieszcześnie klimat, tak wybrzeża, jak dalszych  
stron Łądu Afrykańskiego jest tu najbardziej nie-  
zdrowym, zabójczym, szczególnie dla podróżni-  
ków z krain północnych. Francuzi piszą nazwi-  
sko Rogozińskiego „Ragozinsky“, dodając, że  
jestto oficer marynarki rosyjskiej.

Podróż do bieguna północnego balonem nie pozo-  
stała w dziedzinie fantastycznych marzeń. Angiel-  
ski marynarz, komendant Cheyne nie odstępuje od  
swego zamiaru i ma stałe postanowienie wzniesie-  
nia się w nadpowietrzną podróż z Zatoki Ś-go Pa-  
tryka, gdzie znajdujące się pokłady węgla posłu-  
żą mu do wyrobu gazu, mającego wypełnić balo-  
ny. Wyrachował on, że z tego punktu potrzeba mu  
będzie, przy wietrze pomyślnym, tylko dwudziestu  
czterech godzin, aby stanął u celu — osiągnął  
bieguna. Każdy balon zabierze ze sobą ży-  
wności na pięćdziesiąt jeden dni i w miarę oddala-  
nia się będzie wypuszczał drut telegraficzny, a to,  
aby pozostać w stałym związku z główną stacją  
wyprawy. Balony będą się trzymać w niewiel-  
kiej odległości od ziemi, a niezamieszkałe okoli-  
ce, które przebiegać będą, nie przedstawiają pod tym  
względem przeszkód i zagród, jakie nastęrczały-  
by się w Europie.

Austryacka wyprawa hr. Wilczka do bieguna półno-  
cznego odplynęła na parowcu „Pola“ kierując się  
ku wyspie „Jan Mayen“, która między 9° 4' i 7°  
52' zachodniej długości od Greenwich, a między  
71° 5' i 70° 49' północnej szerokości samotnie na  
Morzu Grenlandzkim leży. Dowódczą wypra-  
wy składającej się z 14 członków, jest kapitan  
Emil von Wohlgeuth; żywności zabrano na lat  
dwa i plan nieżyjącego już Weyprechta, aby bie-  
gun północny został otoczony kołem stacyj spo-  
strzegawczych, zostaje tym sposobem wprowadzo-  
nym w życie. Wyspa „Jan Mayen“ nie posiada  
żadnego portu, żadnej zatoki i wyładowanie jest  
tu jedynie możliwem przy zupełnej ciszy na mo-  
rzu. W pośrodku wyspy, która w całości składa  
się z wyżyn wulkanicznej natury, wznosi się 1943  
stóp wysoka „Góra Niedźwiedzia“ i jestto wyga-  
sły już obecnie wulkan. Wyspa ma długości 7½,  
szerokości 2 mil geograficznych, flora jej i fauna  
jest bardzo uboga, pod względem meteorologicznych  
sposztrzeń najlepszych wiadomości dostarcza cie-  
kawki, bo z 1633 r. pochodzący dokument: dziennik  
pisany przez siedmiu holenderskich majątków ze  
statku wielorybniczego — jedynych dotąd ludzi,  
którzy chcieli na wyspie „Jan Mayen“ przezimo-  
wać. Pomarli oni ze skorbutu, ośm miesięcy  
na wyspie przeżywszy. Budynki, które mają tam  
być obecnie wzniesione, zostaną zaopatrzone

w sprzęty i zapasy przez wyprawę ze sobą wzięzione. Przybije ona do brzegów wyspy około 1 Sierpnia bieżącego roku i 1 Sierpnia 1883 roku. Wszystkie materialia, zbiory — wszystko, co wyprawa będzie chciała ze sobą zabrać, wyspę opuszczając, powinno być do ładowania na parowiec gotowe i to tak, aby 15 Sierpnia znajdowały się już na pokładzie statku, który najpóźniej 1 Września powinien z powrotem do ojczyzny odpłynąć.

Olbrzymia lilia wodna przechodząca owiele rozmiarem swoim sławną do tej pory z wielkości kwiat: *Wiktorja Regia*, została odkrytą na peruwiańskim jeziorze Nuna. Liście tej pysznej rośliny wodnej mają obwód 25 stóp i ważą od 13 do 14 funtów, kwiat ma obwód 4 stóp, 2 cale, waży 3½ funta, płatki kwiatowe są 9 cali długie. Wyobraźmy sobie krajobraz jeziora, po którym takie lilie pływają! Heine pisał o lotusowych liliach Nilu, kochających się w księżycu: a cóż ta olbrzymka, jakże to ona kocha, jak:

„Drży i płonie, i płacze, i pała  
Od miłości — miłosnej tęsknoty...”

Dwa orły, z ogromnego gatunku łamignatów, padły, bijąc się, na wierzchołek drzewa w lesie Gehlfelder, odległym od Berlina na 1½ mili, i w tym stanie zaciekleści zleciały razem na ziemię. Dwaj węglarze, pracujący w pobliżu nadbiegli i zdołali je pochwytać, sznurami związać i tak do Berlina żywcem oba ptaki odstawić zostały.

Bismark zaczął 1 Kwietnia r. b. 68 rok życia, co było dla niego bardzo ważną rocznicą, bo wedle przeczuć, które rodzinie i bliższemu przyjacielom objawił, sądził, że tego czasu nie dożyje. Żelazny książę posiada jednak w zbroi swojej jakąś szparę słabości, przez którą wcisnąć się zdołało przesądne marzycielstwo i wedle jego przekonania liczyby 66 i 99 mają nad jego życiem moc wyroczną, dlatego też sądził, że 66-ty r. jego życia będzie rokiem śmierci. Czyżby miał zatem dożyć lat dziewięćdziesięciu dziewięciu? Byłaby to wtedy rzeczywiste postać żelaznego nawet pod względem natury człowieka.

Marszałek Bazaine, mimo zuchwale noszonego piętna, które wyciśnięto mu na czole, nie może jednak spokojnie na nie przystać i w duszy jeszcze się spiera ze swoją hańbą, bo napisał i ma wkrótce wydać: *Historja oblężenia Metz*.

Ludwik Kossuth, którego przyjaciele i stronnicy polityczni chcieli wybrać na członka Akademii Peszteńskiej jako autora wydanych a w zeszłym roku *Pamiętników*, prosił listownie, aby tego nie czyniono. Zaszczytu ofiarowanego mu przyjąć-by nie mógł, bo nie chce być uważanym przez swój naród za pisarza, za uczonego człowieka i pragnie tylko istnieć w pamięci ludzkiej jako patryota, człowiek kochający nad wszystko kraj rodzinny i poświęcony wyłącznie, jedynie, sprawie węgierskiej swej ojczyzny.

Królowa Wiktorja odmówiła w tych czasach hołdu, który ją niespodziewanie spotkał. Za przybyciem królowej do Mentone, administracja domu gry na Monte-Carlo zapragnęła ją powitać i złożyć jej ogromny bukiet: „bouquet-monstre”, jak się wyrażają pisma francuzkie, i w tym celu zwróccono się do towarzyszącego królowej generała Ponsonby, prosząc o pośrednictwo w przedstawieniu. Królowa odmówiła w wyrazach objawiających, że się czuje obrażona propozycją. Dowód to, jak ludzie oddający się podłemu rzemiosłu tracą poczucie moralne i nie czują, że są godni pogardy w oczach uczciwych ludzi. Może im się zdaje, że złoto, któremu zaprzędali godność swoją, wszystko zakrywa.

Co za złoto kupić można? okazuje teraz dowodnie owdowiała Blanc, ex-towarzyszka losów takiego właśnie rozbójnika przy zielonym stoliku, jak tam-

ci z Monte-Carlo. Otóż dawny krupier w tej jaskini nabył dla swoich dwóch córek takie dwie bagatelki, jak dwóch książąt i to książąt co się zowie: Radziwiłła i Bonapartego, a żonie między innymi rzeczami dwieście pięćdziesiąt trzy wachlarze! To nie omyłka druku: wdowa Blanc, powtórnie zamężna i zruinowana, urządziła w Paryżu wyprzedaż swoich ruchomości i, wyprzedawszy najpierw klejnoty bajecznej wartości, kolekcją obrazów, kolekcją emalii, kolekcją kamei, kolekcją koronek i materyj starożytnych, sprzedawała w ostatnim tygodniu przed świętami dwieście pięćdziesiąt wachlarzy, zostawiając sobie trzy najcenniejsze — czy pod względem kosztowności, czy miłych wspomnień? Nie jest to koniec przecież; prasa paryzka porównywa tę wyprzedaż z jakąś bohaterką powieści, o której wciąż zdawało się ludziom, że już umrzeć musi, a która przecież wciąż żyła i zadziwiała czytelników coraz to nową seryą osobliwych niespodzianek. P. Marya Blanc ogłosiła też teraz wyprzedaż kości słoniowej, bronzów, sreber, porcelany saskiej i jeszcze koronek, które w ogłoszeniach figurują jako „dentelles d'été”, dalej krep chińskich (crêpe de Chine), kaszmirów i materyj wschodnich. Tylko swego nazwiska, które nosząc, zarobiła to wszystko, sławnego nazwiska Blanc, sprzedać nie chce, czy nie może. Choć wyszła powtórnie za mąż, nie traci dostojnego swego miana: wdowy Blanc.

Wdowa francuzkiego poety Autran, autora „Poèmes de la Mer”, umarła niedawno w Marsylii i rozkazała ostatnią swą wolą, aby ciało jej przesłane zostało do Ameryki i złożone w grobie pierwszego jej męża; serce zaś, aby spoczęło z drugim, z poetą. Który mąż odniósł tu pierwszeństwo? pytają się dzienniki francuzkie: zdaje się przecież że ten, któremu się dostał symbol miłości. Rzecz naturalna — jego prawa posiadania tego serca były ostatniej daty; co jednak zrobiłaby

żona, mająca trzech mężów, gdyby tak chciała zdieleć się sprawiedliwie po śmierci?

Najnowszy obraz Matejki, *Hołd pruski*, przeniesiono w dniu 22 Kwietnia z pracowni mistrza do sali Sukiennic, zwinięty na wałku, i tam dopiero umieszczono go w ramach. Fotograf Szubert zdjął wtedy z niego fotografią, a następnie, publiczność oglądać go mogła i oglądała tłumnie. I my ujrzemy go wkrótce.

Oryginalny szkic „Ostatniej wieczerzy” Leonarda da Vinci, został odkryty przypadkowym sposobem. Handlarz obrazów z Medyolanu przybył z towarem swoim do Nicei i między innymi była tam olejna kopia wspomnianego arcydzieła, namalowana na drewnianej tablicy, trzy stopy wysokiej, dwadzieścia stóp szerokiej. Sprzedano ją za cenę 100 fr. Gdy przecież nowonabywca oddał obraz do odczyszczenia, spostrzeżono, że pod spodem obrazu znajduje się drugie malowanie i gdy wierzchnie usunięto, ukazało się przesliczne malowidło *a tempera*: szkic własnoręczny mistrza do jego Cenacolo. Wątpliwość żadna co do prawdziwości obrazu zachodzić nie może, gdyż znajduje się u dołu wyraźny podpis. Szkic ten był malowany przez mistrza w refektarzu medyolańskiego klasztoru *Delle Grazie*.

Zbiór rękopism Jana Jakóba Rousseau odkryto w kantonalej bibliotece w Genewie. Jest ośm zeszytów, zawierających *Les confessions* i dwa: *Morceaux divers*, nigdy drukiem nie ogłoszone.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkuusz 2-gi powieści pod tytułem: **Wygnaniec**.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach.

## DZIEŁA DRAMATYCZNE WILLIAMA SHAKESPEARE

(SZEKSPIRA)

przekład

St. Koźmiana, J. Paszkowskiego i L. Ulricha

Z DODANIEM ŻYCIORYSU POETY I OBJAŚNIEN

pod redakcją

J. I. Kraszewskiego,

Ozdobione 544-ma drzeworytami angielskimi

3 tomy wielkiego formatu,

Cena egzemplarza kompletnego w 3 tomach rs. 15, z przesyłką rs. 17;  
w oprawie rs. 19 kop. 50, z przesyłką rs. 22.

Dzieło to można nabywać częściowo, tomami kolejno po sobie idącymi. — Cena tomu I-go rs. 4 kop. 80 (w oprawie rs. 6 kop. 30); — tomu II-go rs. 6 (w oprawie rs. 7 kop. 50); — tomu III-go rs. 4 kop. 20 (w oprawie rs. 5 kop. 70), Za przesyłkę liczy się rs. 1 od każdego tomu.

**TREŚĆ.** Henryk Wardsworth Longfellow, (życiorys). — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — 0 mi-  
stycyznie w literaturze (Odczyt p. Marrené), przez S. K. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Pomnik dla Mickiewicza. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 21 Апрѣля 1882 года